

KURIER WARSZAWSKI

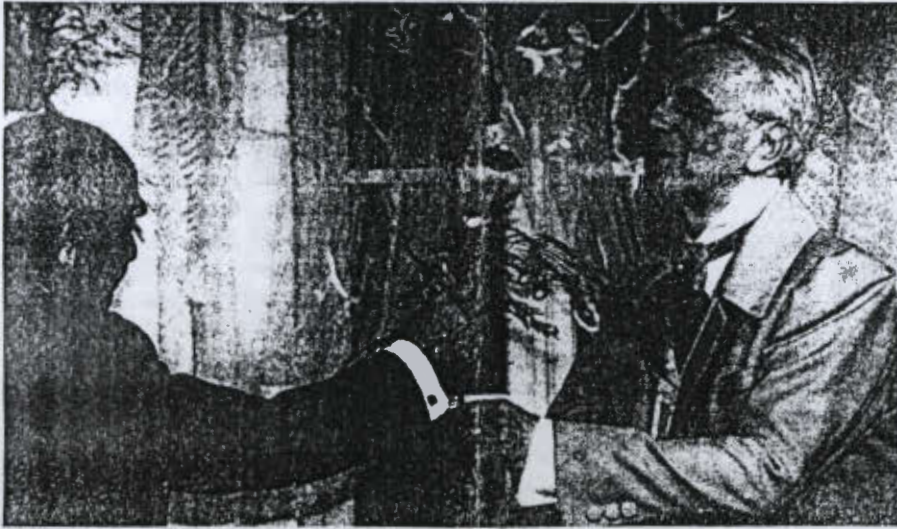
Lucjan Kydryński

Andrzej Łapicki zapowiada rozstanie ze sceną! • Czy to już koniec czystych koszul i krawatów? • Dobra zabawa na Gogolowskim "Ożenku" • Spotkania teatralne - od Wajdy po Wierszalin • "Straszny dwór" - czy rzeczywiście straszny?

DOKTORSKIEGO JUBILEUSZU można mieć różne podejście. Można urządzić wielką fetę z setkami osób na scenie i tysiącem na widowni - jak zrobił Wojciech Pszoniak na swoje 50-lecie, można nieco skromniej, lecz przecież z rozmachem - jak świętowali Holoubek czy Bardini, i można również całkiem kameralnie, intymnie, jedynie w gronie przyjaciół, jak obzedł swoje 70 lat Andrzej Łapicki. Na małej scenie Teatru Powszechnego wystawił dla swoich gości "Śluby panięskie", grając w nich rolę Radosta. W towarzystwie Mirosławy Dubrawskiej, otoczony aktorską młodzieżą, dał przedstawienie klasyczne w formie, zatroskane o to przede wszystkim, by piękno Fredrowskiego wiersza zostało zachowane, by utrzymać właściwy styl - w słowie, w geście, w rozgrywaniu sytuacji, w noszeniu kostiumu...

Do "Ślubów panięskich" Warszawa ma zresztą szczęście. Znakomite było przedstawienie przed dwudziestu laty, przygotowane w Ateneum przez Jana Świderskiego, który też sam grał Radosta, a w obsadzie błyszczeli: Aleksandra Śląska (pani Dobrójska), Krystyna Janda (Aniela), Grażyna Barszczewska (Klara), Andrzej Seweryn (Gustaw). Znakomite były też "Śluby" przed dziesięcioma laty, które w Teatrze Polskim reżyserował właśnie Łapicki, mając do dyspozycji m.in. Jana Englerta - Gustawa, Annę Seniuk - Dobrójską, no i rewelacyjną Joannę Szczepkowską w roli Anieli.

Teraz w Powszechnym podtrzymano te dobre tradycje. Obok Łapickiego i Dubrawskiej (Dobrójska) obejrzelśmy bardzo utalentowaną młodzież: RaŃala Królikowskiego (Gustaw), Justynę Sieńczyłło (Aniela), Beatę Ścibakównę (Klara), Piotra Kozłowskiego (Albin). Było mnóstwo zasłużonych braw, dużo świetnej zabawy, ale potem - nieoczekiwanie ogarnął nas smutek, bo Andrzej Łapicki w dowcipnym, choć niewolnym od nutki melancholii przemówieniu wyznał, że tą rolą żegna się już ze sceną. No cóż, chciałbym uznać to za podyktowane nastrojem chwili wyznanie zbyt pochopne i nieprzemyślane, lecz jeżeli pan Andrzej potraktuje swe słowa poważnie, to dla naszej sceny oznaczałoby to coś więcej, niż przedwczesne zakończenie jednej tylko kariery: oznaczałoby wygasanie pewnej epoki - epoki aktorów o wielkiej kulturze osobistej, zawsze mądrze i pięknie mówiących, zawsze dobrze ubranych, mających nieskazitelne manie-



...Łapicki postanowił zakończyć karierę aktorską?

(Fot. PAP/CAF - Andrzej Rybczyński)

ry. Aktorów, dla których grywanie inteligentów nie jest dużym problemem, ponieważ po prostu są inteligentami.

Patrzyłem na "jubileuszową" widownię. Aleksander Bardini, Andrzej Wajda, Gustaw Holoubek, Jan Englert, Młynarski, Pszoniak, Olbrychski z żoną (córką Łapickiego), znakomity chirurg, prof. Noszczyk z żoną, aktorką Grażyną Staniszewską, państwo Niemczyccy - reprezentujący wielki biznes i wielką życzliwość dla spraw kultury, Maja Komorowska, Jerzy Gruza, itd., itd., sami wybitni! I pomyślałem sobie, że to grono niezwykle, że coraz mniej jest miejsc i okazji, by spędzić wieczór w towarzystwie takich ludzi. Że kończy się epoka interesujących konwersacji, bon motów, uprzejmości dla dam, wrodzonej kultury bycia, ciemnych garniturów na wieczór, dobrej wody toaletowej, czystych koszul i krawatów. Epoka, której Łapicki jest nie tylko reprezentantem, lecz wręcz symbolem. Zatem żal, no ale cóż - świat idzie do przodu, tylko - czy we właściwym kierunku?

Dóść sentymentów. Wystarczy zaglądnąć do dużej sali tegoż Teatru Powszechnego, aby zapomnieć o kłopotach, jakie niesie nam życie i świetnie się bawić na "Ożenku" Gogola. W przeciwieństwie do "Ślubów", "Ożenek" nie miał w Warszawie dobrej passy - wszystkie je-

go inscenizacje już od lat były nieudane: co do mnie, to nie widziałem na scenie dobrego "Ożenku" przez blisko pół wieku, czyli od krakowskiego spektaklu z Kurnakowiczem - Podkolesinem i Ćwiklińską - Fiokłą. Potem jeszcze tylko błyskotliwa i wspaniale obsadzona adaptacja telewizyjna Ewy Bonackiej, no i nic ciekawego, aż do obecnej wersji przygotowanej przez Andrzeja Domalika. Na niemal pustej scenie, pod ogromnym Gogolowskim szynielem, zaprojektowanym trochę bez sensu, niemniej bardzo efektownie i ładnie przez Jagnę Janicką, rozgrywa się spektakl typowo aktor-

ski. Reżyser, jak się zdaje, dał aktorom tak dużo swobody, że trudno ich było scalić stylistycznie, każdy raczej gra tu po swojemu, ale niektórzy grają bardzo dobrze. Przede wszystkim Władysław Kowalski. Obsadzony w roli Podkolesina dość przewrotnie, ku zaskoczeniu bywalców Powszechnego, wykazał dużą siłę komiczną i stworzył postać nieodparcie śmieszna. Dodałbym do niego także Krzysztofa Stroińskiego, wybornego w drobnej roli Stepana, no i Janusza Gajosa - zabieganego Koczkariewa. A w ogóle mężczyźni w tym przedsta-

wieniu radzą sobie znacznie lepiej od kobiet...

No i jeśli idzie o sceny warszawskie, to na razie tylko tyle dobrego, natomiast interesujących przeżyć dostarczyli nam także i goście przybyli na kolejne Warszawskie Spotkania Teatralne, dokonujące heroicznego wysiłku, by mimo braku pieniędzy jednak się utrzymywać, i to utrzymywać na odpowiednim poziomie. Spotkania tradycyjnie już otworzył krakowski Stary Teatr czterema japońskimi jednoaktówkami Yukio Mishimy, ascetycznie, stylowo wyreżyserowanymi przez Andrzeja Wajdę, z ciekawą, "japońską" muzyką Stanisława Radwana, pomysłową scenografią Krystyny Zachwatowicz (świetny japoński ogródek - ikebana, zmieniany na każdą z czterech pór roku) i z dobrymi rolami Beaty Fudalej (jedynej obsadzonej we wszystkich czterech sztukach). Przybył też Teatr Wybrzeże z Gdańska z "Arka-dią" - moim zdaniem mocno przereklamowaną sztuką Toma Stopparda, której nudnych powikłań i przegadanych dyskusji nie jest w stanie uratować ani sam świetny pomysł konstrukcyjny, ani wysmakowana reżyseria Krzysztofa Babickiego i parę świetnych ról (Jacek Mikołajczak, Mirosław Baka, Dorota Kolać, Jolanta Jackowska).

Ponadto Teatr im. Wilama Horzycy z Torunia przywiózł brawurony spektakl "Piosenek

przed trybunałem” - inscenizowanych arcydziełek Berangera, wg scenariusza i w reżyserii Marty Stebnickiej. Leszek Mądzik zaprezentował swoje nowe dzieło: “Szczelinę” - jak na mój gust niewiele mającą wspólnego z teatrem (proszę pamiętać, że jestem tradycjonalistą!), natomiast Towarzystwo Wierszalin przedstawiło “Kłątwę” Wyspiańskiego. I myślę, że właśnie inscenizacja Piotra Tomaszuka, nadająca tragedii Wyspiańskiego kształt ludowego obrzędu, była najciekawszym wydarzeniem tegorocznych Spotkań. Był to wieczór przejmujący, o ogromnej sile wyrazu pozwalającej bez trudu przymykać oczy na niedostatki aktorstwa. Wielkie gratulacje!

Teatry ze Spotkań powróciły już, rzecz jasna, do swych miast (choć Wierszalin dał jeszcze parę dni później kilka dodatkowych spektakli), a warszawiakom pozostały wspomnienia i... premiera w Teatrze Wielkim. Tzn. premiera jak premiera, po prostu nieco odświeżono inscenizację “Strasznego dworu”, wystawioną tu w reżyserii Marka Grzebińskiego i w scenografii Andrzeja Sadowskiego przed

dwunastu laty. Ciekawostką stanowi natomiast fakt, że wznowienie pokazano najpierw na gościnnych występach w Luksemburgu, a dopiero później zwieziono do Warszawy.

Scenografia do “Strasznego dworu” może być dwójakiego rodzaju: albo pełna cepeliowskiego folkloru, ciesząca oko radosnymi, ciepłymi barwami, albo szara, pochmurna, niczym w jesienny wieczór, smutna. Sadowski wybrał tę pochmurną wersję, jednakże nie tyle ona narzuciła słuchaczom premiery niewesoły nastrój, ile raczej niedostatki muzyczno-wokalne przedstawienia. Tadeusz Wojciechowski, nowy dyrektor Teatru Wielkiego, prowadził spektakl z pewną niefrasobliwością, zarówno jeśli idzie o tempa, w jakich przywykło się grywać Moniuszkę, jak i jeśli idzie o precyzję w kontaktach między sceną a kanałem orkiestry. A na scenie też działo się różnie.

Niewątpliwie najlepiej radziły sobie Izabella Kłosińska i Katarzyna Suska - Hanna i Jadwiga (tylko, pani Izo, niech pani na miłość Boską zdejmie tę ohydną perukę!), a także Włodzimierz Zalewski - Zbigniew i Andrzej Hiolski

- Miecznik. Pamiętam jak Hiolski śpiewał tę partię przed trzydziestu laty na inauguracji odbudowanego gmachu Teatru Wielkiego i miło mi stwierdzić, że tak jak niegdyś tam, tak i teraz tutaj był najlepszy w obsadzie. Ogromną muzykalnością i wyczuciem stylu imponował zawsze, obecnie imponuje również formą, niecodzienną jak na - nie ma co ukrywać - wiek dojrzały.

Niestety, nie wszystkim taką formę daje się utrzymywać, co gołym uchem można było usłyszeć na premierze. Wiadomo, na przykład, że Stefan czy Cześnikowa to partie tak ważne, że trzeba dobrze się zastanowić, komu je można powierzyć, tymczasem obawiam się, że tym razem zastanawiano się nieco za słabo. Ale - podobno w Luksemburgu “Straszny dwór” się podobał, więc może to tylko my jesteśmy tacy wybredni?

Myślę, iż problem tkwi raczej w tym, że tylko my, w Polsce, znamy trochę Moniuszkę i wiemy, jak można go zaśpiewać i zagrać.

LUCJAN KYDRYŃSKI